

Kambodża, stara cywilizacja Khmerów



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Kambodża, stara cywilizacja Khmerów

Opracował: Krzysztof Danielewicz

Nowa podróż to zawsze delikatne emocje związane z tym, czy wszystko pójdzie dobrze, czy uda się zobaczyć najciekawsze miejsca i poznać interesujących ludzi. To także pytanie, czy zdrowie dopisze i nie będzie takich przygód jak dwa lata wcześniej, kiedy poważnie poobijałem się na skuterze. Tym razem w planach miałem krótki pobyt w Bangkoku, następnie wylot samolotem do Kambodży i później przejściem lądowym wyjazd do Laosu. Po ponadtygodniowym pobycie w Laosie planowałem ponownie spędzić dwie noce w Bangkoku i wrócić do domu.

Na szczęście wszystkie ograniczenia covidowe zostały zniesione i mogłem bez problemu i bez wizy polecieć do Tajlandii. Do dzisiaj mam ciarki, gdy sobie przypominę ilość kwitów, którą musiałem przygotować za pierwszym razem, oraz pobyt w zamkniętym hotelu w oczekiwaniu na wynik testu. Obecnie problem już nie istnieje i oby nie powrócił, tym bardziej że chyba antyszczepionkowcy mieli rację i niedawno nawet minister zdrowia Niemiec przeproszał za to, że namawiał do przyjmowania szczepionek. Okazało się bowiem, że nastąpił związany z tym bardzo duży wzrost zgonów i chorób.



Zdjęcie 1. Widok z hotelu na Bangkoku.

Wylot do Bangkoku przebiegał bez problemu: przesiadka w Dubaju i po pięciogodzinnym oczekiwaniu wylot ogromnym Airbusem A380-800 do Bangkoku. Samolot robi wrażenie i zabiera, w zależności od konfiguracji, od 555 do 853 pasażerów. Na miejscu w Bangkoku wszystko przebiegało bardzo płynnie, ponieważ Tajowie potrafią obsłużyć ogromny ruch turystyczny.



fot. Krzysztof Danielewicz
Zdjęcie 2. Wnętrze hotelu Prince Palace Hotel.

Z lotniska udałem się taksówką do hotelu, chwilę odpocząłem i rozpocząłem zwiedzanie. Tym razem wybrałem bardzo duży hotel Prince Palace Hotel, który – mimo średnich opinii na Booking.com – oferował baseny i siłownię. Najważniejszym plusem była jego lokalizacja w centrum miasta, skąd mogłem wszędzie szybko dojechać albo dojść. Za 200 PLN za pokój dwuosobowy mamy praktycznie apartament z aneksem, w którym znajdują się: lodówka, zlew, czajnik z zestawem herbat i kawy oraz wody, pokój z kanapą, fotelem oraz telewizorem, łazienka oraz sypialnia z telewizorem. Dodatkowo w cenie otrzymujemy dostęp do dobrze wyposażonej siłowni, sali spinningu, sali do aerobiku, sauny oraz dwóch basenów, z czego jeden około 25 metrów długości, i to wszystko w centrum miasta.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 3. Jeden z basenów oferowanych przez hotel.

Sama bezpośrednia okolica hotelu była bardzo ciekawa. Stara zabudowa, poprzecinana kanałami, dawała wiele ciekawych wrażeń. Z drugiej strony ulicy znajduje się targ, gdzie można kupić dosłownie każdego rodzaju owoce, warzywa czy mięsa, w tym słynnego duriana. Ja zafundowałem sobie tackę obranych pomelo za cenę około 10 PLN. W Tajlandii nie warto jeść obfitych posiłków, ponieważ ilość różnego rodzaju owoców zachęca do degustacji, a zamiast wody można pić soki. Z mojej perspektywy te wszystkie ostrzeżenia dotyczące Azji, aby nie jeść i nie pić na ulicy, są po prostu śmieszne. Oczywiście istnieje pewne ryzyko, ale przyjechać do Tajlandii i jeść tylko przetworzone jedzenie w restauracjach, to po prostu zmarnowane pieniądze.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 4. Widok na kanały w Bangkoku.



fot. Krzysztof Danielewicz

5. Typowe targowisko, znajdujące się niedaleko mojego hotelu.

Wieczorem postanowiłem pojechać słynnym tuk tukiem w rejon bardzo znanej ulicy Khaosan Road. Tuk tuk spod hotelu kosztował mnie 200 THB (batów) – pewnie mógłbym się targować, ale akurat cena mi odpowiadała. W rejonie tym oraz w okolicznych uliczkach zlokalizowanych jest setki barów, restauracji, salonów masażu czy obwoźnych restauracji. To taka Tajlandia w pigułce, typowe miejsce pełne rozrywek dla turystów. Dla osób, które nie lubią hałasu czy ścisku, pewnie nie będzie to miejsce godne uwagi, jednak ja je polecam. Od głównych ulic biegną mniejsze, spokojniejsze, więc dla każdego coś się znajdzie. Rejon ten jest szczególnie urokliwy w godzinach wieczornych, kiedy to po zmroku rozświetlają go tysiące lamp, nadających mu bardziej ciekawy klimat. Można tutaj zafundować sobie masaż nóg i leżąc przy ulicy, oglądać ludzi, których przewija się tutaj tysiące z całego świata. Można dobrze i ciekawie zjeść, np. spróbować mięsa z krokodyla czy różnego rodzaju owadów – jak skorpion, skolopendra, świerszcze i wiele innych. Prawdopodobnie jest to głównie atrakcja dla turystów, ponieważ Tajowie jedzą przede wszystkim ryż, makaron czy mięso z kurczaka lub świni. Ale skoro turyści wiedzą, że takie rzeczy się tu jada, to należy spełnić ich oczekiwania.



Zdjęcia 6-7. Rejon ulicy Khaosan.

Po pełnym wrażeń wieczorze wróciłem motorkiem za 100 THB do hotelu. Na miejscu jeszcze ustaliłem, gdzie i w jakich godzinach działają basen i siłownie oraz gdzie podawane jest śniadanie.



Zdjęcie 8. Grillowany krokodyl.

Dzień drugi (26.03.2023) – Bangkok

Rano przed śniadaniem udałem się na szybką siłownię, ale delikatnie, ponieważ organizm musi się zaadaptować do upałów i innej strefy czasowej (sześć godzin do przodu w stosunku do Polski). Po bardzo smacznym i obfitym śniadaniu udałem się na małe leżakowanie, opisałem wczorajszy dzień i wreszcie ruszyłem w miasto w poszukiwaniu nowych wrażeń.

Jak zwykle pierwszego dnia zawsze obchodzę rejon hotelu – pozwala to na szybkie oswojenie się z danym miastem czy państwem, zaobserwowanie podstawowych zwyczajów czy tempa życia. W związku z tym, że wyszedłem w okolicach godziny 12.30, było bardzo gorąco. W Tajlandii o tej godzinie życie mocno spowalnia, otwierane są stragany jedynie po stronie cienia, i to w bardzo ograniczonym zakresie. Większość handlu zamiera, co jakiś czas można spotkać przewoźne restauracje lub stałe jadalnie przy chodniku. Biorąc pod uwagę, że

praktycznie na każdym kroku funkcjonują małe stoiska z ciuchami, pojawia się naturalne pytanie: jak oni zarabiają przy tej liczbie punktów handlowych?

Chodząc wzdłuż kanałów, zauważyłem, że pływają w ich bardzo duże ryby – około 35–45 centymetrów – na które Tajowie polują przy wykorzystaniu procy, do której przymocowana jest żyłka. Ryby wyglądają bardzo okazale i zdrowo, ale w zestawieniu z ściekami wpływającymi do kanałów rodzi się pytanie, na ile są zdrowe. Kanałami co kilka minut przepływają dosyć szybko małe statki wycieczkowe lub tramwaje wodne. Przy samej rzece natomiast zbudowane są przystanki wodne.



Zdjęcie 9. Kanały i tramwaj wodny w rejonie hotelu

Spacerując po wąskich uliczkach, można zauważyć, że podobnie jak w Wietnamie Tajowie mieszkają w bardzo małych mieszkaniach, które pełnią wiele funkcji: kuchni, sypialni czy magazynu towarów. W godzinach 12.00–15.00 daje się zauważyć, podglądając mieszkańców przez okna i drzwi, że większość z nich śpi (ale może to było także spowodowane tym, że to akurat była niedziela). Śpią na łóżkach, na podłodze na matach lub wręcz na wózkach na chodniku – każdy gdzie może.



Zdjęcie 10. Stara zabudowa Bangkoku.

Podczas powolnego spaceru porównywałem ceny produktów. I tak np. za bardzo podobny do duriana owoc, największy rosnący na świecie na drzewie – dzakfrut – bardzo zdrowy i zawierający przeciwutleniacze zapłaciłem około 4 PLN za 0,25 kg. Zupa w chodnikowej restauracji kosztuje około 6 PLN, a tajskie whisky – około 20 PLN za 350 ml. Butelka wody mineralnej 300 ml to wydatek około 1,20 PLN, gdy przy Khaosan Road jedno małe piwo kosztuje 20 PLN.

Po dwóch godzinach spacerowania wstąpiłem do małej ulicznej kuchni na zupę. W barze była para Tajów. Oczekując na zamówienie posiłku, widziałem, jak właścicielka przenosi ciężką butlę z gazem i prawie w tym samym momencie wraz z jedzącym posiłek Tajem ruszyliśmy, aby jej pomóc. Po jakimś czasie para po zakończonym posiłku wstała i ewidentnie chciała mi coś powiedzieć. Zrozumiałem tylko tyle, że chcą zapłacić mój rachunek. Pokazywałem, że nie ma potrzeby, jednak widząc, że im na tym zależy, wstałem i bardzo serdecznie podziękowałem. Było mi bardzo miło, ta sytuacja najlepiej świadczy o tutejszej gościnności.



Zdjęcie 11. Dżakfrut – największy owoc rosnący na drzewie w postaci oryginalnej i po wydobyciu części jadalnej.

Już rejonie hotelu zauważyłem skupisko mężczyzn oglądających w TV walki tajskiego boks. Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, że podobnie jak na typowym meczu tajskiego boksu obstawiają oni, kto wygra walkę. Kiedy dwa lata wcześniej miałem okazję oglądać tajski boks w najsłynniejszej hali Bangkoku Lumpinee Boxing Stadium, widziałem, że w trakcie meczu duża grupa mężczyzn obstawiała walki, stawiając to na czerwonego, to na niebieskiego zawodnika (od koloru spodenek). Na ulicy jeden z Tajów zachęcał mnie, abym obstawiał, zrobił sobie nawet zdjęcie ze mną. Bardzo miłe spotkanie i atmosfera. Tajowie bardzo pozytywnie reagują na turystów i robienie zdjęć przez turystów nie wywołuje u nich negatywnych reakcji, jak to często dzieje się w krajach afrykańskich.

Po powrocie zaliczyłem szybki basen oraz spacer z aparatem po lokalnym warzywniaku w poszukiwaniu ciekawych ujęć. Przy okazji objadłem się świeżym obranym pomelo – białym i czerwonym. Palce lizać.



Zdjęcie 12. Wspólne oglądanie meczu tajskiego boksu i obstawianie walk.

Wieczorkiem zaplanowałem wypad taksówką na Khoasan Road. Ciekawostka – kiedy targowałem przejazd, zaproponowano mi cenę 200 THB. Powiedziałem, że mogę zapłacić 150, ale człowiek pamiętał, że dzień wcześniej zapłaciłem 200. Odpowiedziałem, że już znam ceny...Na miejscu zafundowałem sobie mocny godzinny masaż stóp za około 35 PLN. Następnie pospacerowałem i zjadłem Mango Sticky Rice, tj. zasmażany ryż z mango polewany mleczkiem kokosowym oraz makaron z krewetkami. Podsumowując, za godzinny masaż i dwa pyszne posiłki w centrum Bangkoku zapłaciłem około 140 PLN, co jest niemożliwe np. w Polsce, szczególnie w atrakcyjnych miejscach. Sam masaż przy głównej ulicy to już „rozpusta” ze względu na klimat, a możliwość obserwowania ludzi i słuchania muzyki to dodatkowa atrakcja. Widać, że atrakcje turystyczne tego kraju docenia cały świat. Przyjeżdżają tu ludzie w każdym wieku i każdy czuje się bezpiecznie i zrelaksowany.



Zdjęcie 13. Wspólne zdjęcie z jednym z Tajów obstawiającym walki.

Kiedy wróciłem około 22.00 do hotelu, zauważyłem, że życie dopiero się zaczyna. Otwarte wszystkie pozamykane w ciągu dnia bazy, szczególnie punkty kulinarne, gdzie Tajowie spokojnie spożywali posiłek bez ryzyka udaru słonecznego.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 14. Masaż stóp przy jednej z głównych ulic turystycznych.

Dzień trzeci (27.03.2023) – wylot do Kambodży

Dzień zacząłem od porządnej porcji ruchu na siłowni, basenu oraz pysznego śniadania. Następnie taksówką hotelową za 65 PLN udałem się na lotnisko międzynarodowe Don Muang, skąd miałem wylot do Phnom Penh, tj. stolicy Kambodży. Po drodze miałem okazję podziwiać Bangkok, który według różnych szacunków liczy około 10 milionów ludzi, pracuje tu także wielu robotników z Kambodży, Laosu czy Myanmar. W całej Polsce nie ma tyłu drapaczy

chmur, co w tym jednym azjatyckim mieście. Będąc tu osobiście, człowiek ma pewność, że mają rację ci, którzy uważają, że przyszłość należy do azjatyckich tygrysów.

Na lotnisku szybko załatwiłem wszystkie formalności i z ciekawością czekałem na lot do nowego kraju – chyba już czterdziesty siódmy, w którym miałem okazję postawić stopę. Zdążyłem jeszcze zjeść pyszną zupę z mięsem z kaczki oraz deser z mango w mleku z kokosu i doriań – za bardzo przyzwoite pieniądze, szczególnie w porównaniu z cenami na lotnisku w Warszawie.



Zdjęcie 15. Tuk tuk i mój kierowca na lotnisku w Phnom Penh.

Odlot nastąpił z małym opóźnieniem około 20 minut, ale bez innych problemów. W samolocie wszyscy obcokrajowcy otrzymali deklarację celną oraz kwit imigracyjny do wypełnienia. Po wylądowaniu, mimo pewnych obaw związanych z brakiem wizy, doznałem bardzo pozytywnego doświadczenia. Wszystko zajęło może z 10 minut. Najpierw wyrobienie wizy, polegające na tym, że funkcjonariusz wziął mój paszport, zapytał, ile dni będę, zażądał 35 USD i po pięciu minutach miałem wizę wklejoną do paszportu. Nikt nie chciał ode mnie zdjęć paszportowych, o czym wszechobecnie informował internet. Dodatkowo do paszportu wklejono mi kwit imigracyjny z podstawowymi danymi i planowanymi terminami pobytu.

Kolejny punkt to kontrola paszportowa, która także przebiegała bardzo szybko. Chwilę później wymieniałem dolary po 4000 rielów (KHR) za 1 USD i siedziałem w tuk tuku za 10 USD do hotelu.



Zdjęcie 16 i 17. Widok na współczesny Phnom Penh.

Po drodze miałem okazję podziwiać miasto, a szczególnie jego niesamowite korki. W związku z tym, że mi się nie spieszyło, korzystałem z czasu na robienie zdjęć i filmów. Kierowca zaoferował mi objazd miasta, więc wziąłem jego namiary i obiecałem się odezwać, jeśli będę zainteresowany.

Po przybyciu do hotelu humor natychmiast mi się bardzo poprawił. Za cenę 163 USD za cztery noce miałem do dyspozycji pokój na poziomie pięciu polskich gwiazdek, z basenem i siłownią włącznie. Hotel znajdował się praktycznie 100 metrów od rzeki Tonle Sab, która kawałek dalej łączy się z Mekongiem.

Po szybkim zameldowaniu udałem się na kolację i obchód okolicznych ulic. Po drodze ustaliłem kilka ciekawych wariantów rejsu po obu rzekach z zachodem słońca włącznie. Wokół było setki restauracji, barów czy nocnych klubów. Widać było, że każdy znajdzie tu spełnienie swoich najskrytszych pragnień... (bez oceniania). Odwiedziłem także nocny market, gdzie na placu ludzie rodzinami lub w gronie przyjaciół spożywali posiłek na rozłożonych wszędzie dywanach. Zostałem też zaproszony do wspólnego zjedzenia posiłku oraz wypicia piwa z grupą młodych ludzi, kiedy zapytałem, czy mogę zrobić z nimi krótki filmik. Ceny posiłków w większości barów zaczynały się od 4,5 USD.



Zdjęcie 18. Widok na Phnom Penh z hotelowego basenu.

Podsumowując pierwszy dzień w Kambodży, muszę stwierdzić, że uderzają ogromna energia młodych ludzi, otwartość, piękna pogoda, piękne okolice rzeki oraz setki barów i restauracji. Duży kontrast pomiędzy pięknymi budynkami a zaniedbanymi okolicami czy nawet pełnymi śmieci ulicami. Wszystko dla ciała i ducha.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 19. Targowisko bezpośrednio przy moim hotelu.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 20. Promenada biegnąca wzdłuż rzeki Tonle Sap.



Zdjęcie 21. Ruch statków wycieczkowych na rzece Tonle Sap.



Zdjęcie 22. Wspólna kolacja w nocnym markecie.

Dzień czwarty (28.03.2023) – Phnom Penh

Rano, po dobrym śnie i pysznym śniadaniu w sali na siódmym piętrze z widokiem na Mekong, poprosiłem w recepcji o przedłużenie mojego pobytu o jeden dzień. Po prostu hotel był tak fantastyczny i świetnie zlokalizowany, że grzechem byłoby spieszyć się i nie skorzystać ze wszystkich atrakcji. Za cenę 55 USD za pokój dwuosobowy ze śniadaniem, w warunkach polskiego minimum czterogwiazdkowego hotelu, miałem do dyspozycji basen oraz siłownię, dodatkowo na siódmym piętrze bez dachu znajdowała się restauracja z widokiem na rzekę oraz dwa minibaseny z pięknym widokiem na miasto. Coś niesamowitego.



Zdjęcie 23. Złota Świątynia w całej okazałości.

W planach miałem spokojny dzień: chciałem zwiedzić przede wszystkim Pałac Królewski i Muzeum Narodowe, natomiast wieczorem popłynąć na godzinną wycieczkę łodzią, aby podziwiać zachód słońca. Idąc w kierunku Muzeum Narodowego, natknąłem się na jakąś świątynię buddyjską, gdzie zaczepił mnie właściciel tuk tuka. Niespecjalnie chciałem z nim rozmawiać, ale zaczął opowiadać o świątyni i pokazał mi zalaminowaną kartę z głównymi atrakcjami Phnom Penh. Dodatkowo powiedział, że muzeum i pałac są do godziny 14.00

nieczynne z uwagi na obiad. Była to oczywiście typowa ściema dla turystów, tak jak kiedyś w Hanoi w Wietnamie.

Po krótkiej negocjacji namówił mnie na zwiedzanie dwóch świątyń – Wat Phnom i Golden Temple – za 15 USD. Oba zabytki są godne polecenia, szczególnie Złota Świątynia, która może pochwalić się przepięknymi zdobieniami wewnątrz. W niej właśnie miałem okazję być świadkiem jakiegoś obrzędu, który polegał na tym, że mnich polewał dwie kobiety wodą, recytując jakieś słowa i co chwila rozbijając naczynia o podłogę. W świątyni widziałem też, jak dwie kobiety składają ofiary w postaci jedzenia, przy czym w jednym przypadku był to upieczony prosiak. Widać, że władze Kambodży zwracają dużą uwagę na odrestaurowywanie zabytków i pielęgnowanie tożsamości imperium khmerskiego. Daje się to zauważyć w zabytkach, architekturze oraz muzyce.



Zdjęcie 24. Złota Świątynia wewnątrz jest pięknie zdobiona.



Zdjęcie 25. Złota Świątynia, stół ofiarny z darami.

W trakcie podróży po stolicy dogadałem się z moim kierowcą na kolejne dwa dni, tj. zwiedzenie pól śmierci, gdzie reżim Polpota wymordował tysiące ludzi, muzeum terroru oraz podróż na wyspę, gdzie można poznać całą technologię produkcji jedwabiu. Kolejnego dnia miałem pojechać z kierowcą do jego wsi, gdzie chciałem poznać życie zwykłych ludzi na wsi. Dowiedziałem się, że jego córka studiuje, natomiast syn jest bardzo niesforny – jeżdżąc za szybko motorem, często po alkoholu, doprowadził już do trzech wypadków, miał też liczne złamania, które spowodowały, że ojciec zastawił dom i ziemię, aby opłacić operacje dla syna. Kosztowały one około 15 tys. USD.

Po ustaleniu godziny wyjazdu udałem się do Muzeum Narodowego, które posiada ogromne zbiory zabytków, w tym rzeźby z kamienia czy odlewy z brązu oraz srebra. Sam budynek jest bardzo ciekawie zaprojektowany i nawiązuje do historii Khmerów. Muzeum nie jest specjalnie wielkie, wystarczy około 45 minut, aby obejrzeć bez odczucia znudzenia artefakty. Miejsce godne polecenia, koszt 10 USD, nie wolno robić zdjęć aparatem, natomiast wolno telefonem.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 26. Złota Świątynia – ciekawy obrzęd religijny.





fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcia 27–30. Muzeum Narodowe na zewnątrz i wewnątrz.

Następnie odwiedziłem imponujący Pałac Królewski – miejsce pod względem obszaru, zdobień i układu, tj. pałac plus budynki religijne, przypominało kompleks pałacowy w Bangkoku w Tajlandii, przy czym ten w Bangkoku jest nieznacznie większy i bogatszy. Ten w Phnom Penh cały czas jest jeszcze restaurowany i w przyszłości będzie piękną atrakcją turystyczną i dumą narodową. Na zakończenie wypilem pyszne espresso i zrobiłem sobie zdjęcie z mnichem, który odpoczywał opodal.



fot. Krzysztof Danielewicz





Zdjęcia 31–34. Pałac Królewski w Phnom Penh.



Zdjęcie 35. Charakterystyczne dla Kambodży historyczne wozy.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 36. Zespół muzyczny na terenie muzeum grający na tradycyjnych kambodżańskich instrumentach muzycznych. W tle mapa imperium khmerskiego.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 37. Zdjęcie autora z mnichem na terenie Pałacu Królewskiego.

Po dużej porcji wrażeń kulturalno-duchowych wróciłem tuk tukiem do hotelu i udałem się na basen, aby nieco spalić kalorii po pysznym obiedzie, który zjadłem po drodze za zawrotną cenę 2 USD – makaron z warzywami i kiełkami oraz duży kufel świeżo wyciskanego soku z trzciny cukrowej, która jest tutaj bardzo popularna.

Po basenie szybkim marszem udałem się nad rzekę złapać rejs po Mekongu, aby obejrzeć zachód słońca. Za 5 USD mamy godzinny rejs statkiem na tarasie widokowym, gdzie było około 10 osób, oraz piwo w cenie, gdy tymczasem w restauracjach samo piwo kosztuje 1,5 USD. Rejs był bardzo interesujący, piękna pogoda, około 30°C, bryza od wody, możliwość podziwiania miasta od strony rzeki oraz ruchu statków po Mekongu. Niestety samego zachodu nie widziałem, ponieważ przyszły wcześniej chmury. Wracając, zauważyłem na brzegu półwyspu dzielącego obie rzeki wiele małych łodzi rybackich. Kiedy obok przepływała inna łódź, podsłuchałem, jak przewodnik przez mikrofon mówił, że to odmienna grupa etniczna, posiadająca swój język, która żyje na łodziach i trudni się połowem ryb.

Po zakończonym rejsie zjadłem pyszną kolację w hotelu na tarasie widokowym z widokiem na rzekę, a następnie pochodziłem po okolicznych ulicach i podziwiałem nocne życie Kambodżańczyków. Muszę przyznać, że do złudzenia przypomina ono zwyczaje Tajów czy Wietnamczyków, z tym że ze względu na dużą ilość śmieci dokoła bardziej przypomina Wietnam. Widać na każdym kroku ogromne bogactwo kuchni, można przebierać w ogromnej ilości owoców i warzyw, ryb, mięs, owoców morza czy wreszcie prażonych robaków. Zauważyłem, że jedzą nawet bardzo małe ptaki, przypominające wielkością naszego wróbla.



Zdjęcie 38. Rejs po rzece Tonle Sap i Mekongu.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 39. Rejs po rzece Tonle Sap i Mekong.



fot. Krzysztof Danielewicz -

Zdjęcie 40. Tradycyjne tuk tuki.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 41. Tradycyjna architektura.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 42. Prażone owady, w smaku neutralne.

Podsumowując – dzień uważam za bardzo ciekawy i udany. Im dłużej tu jestem, tym odkrywam więcej możliwości. Udało mi się także natknąć na punkt, gdzie można kupić bilet autobusowy do Siem Reap, który kosztuje 15 USD, gdy w hotelu za prywatny samochód tylko dla mnie miałem zapłacić 65 USD. Najciekawsze są jednak ceny, które poza wejściem do muzeów czy pałacu są naprawdę bardzo niskie.

Dzień piąty (29.03.2023) – Phnom Penh Kambodża

Tym razem udało mi się wstać wcześniej i zebrać na poranne bieganie, chciałem też zobaczyć, jak wygląda poranne życie w tym mieście. Gdy tylko wybiegłem na nadbrzeżną promenadę, zauważyłem grupę kilkunastu kobiet, Chinek, sądząc po napisach na koszulkach, które pod kierownictwem męskiego instruktora trenowały jakiś system ruchów, może walki wręcz, przy wykorzystaniu wachlarzy. Wszystko działo się przy akompaniamencie muzyki orientalnej.



Zdjęcie 43. Poranny, bardzo oryginalny trening senierek nad brzegiem rzeki.

Nie musiałem ubiec nawet 300 metrów, aby zobaczyć grupę ludzi ćwiczących na tzw. letniej siłowni, których teraz wiele w Polsce. Jakiś kilometr dalej zobaczyłem z kolei kilkanaście osób, głównie kobiet, które na karimatach uprawiały jogę. Biegając, podziwiałem nowoczesną zabudowę miasta, w tym budowę drapaczy chmur. Biegając dalej w kierunku nowoczesnej dzielnicy drapaczy chmur, widziałem starsze osoby pływające w piankach w Mekongu czy

rybaków, mieszkających na łodziach sprzedających ryby. Sądząc po strojach, byli to muzułmanie. Na końcu promenady z kolei zobaczyłem trzech mężczyzn odbijających tylko nogami jakiś przedmiot, który na końcu miał lotkę, przez co zawsze ustawiał się w tym samym kierunku. Tylko po tym porannym bieganiu mogę spokojnie powiedzieć, że mieszkańcy miasta dużą wagę przywiązują do ruchu fizycznego.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 44. Poranne widoki.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 45. Spacerujący mnich na tle drapaczy chmur w Phnom Penh.



Zdjęcie 46. Łodzie lokalnych rybaków – tu odbywa się ich całe życie.



Zdjęcie 47. Poranny jogging po promenadzie.



Zdjęcie 48. Parking dla skuterów.

Po szybkim śniadaniu o 9.30 czekał na mnie mój tuk tuk. Pierwszym przystankiem było centralna katowania reżimu Pol Pota o nazwie S21.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 49. Więzienie S21, znajdujące się w byłej szkole.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 50. Więzienie S21 – typowa sala tortur.



Zdjęcie 51. Więzienie S21 – jeden z byłych więźniów, który przeżył tortury.



Zdjęcie 52. Więzienie S21 – bardzo małe cele dla kobiet.



Zdjęcie 53. Pola śmierci – mauzoleum wypełnione czaszkami ofiar.



Zdjęcie 54. Pola śmierci.

Po tych przykrych widokach – zobaczyłem narzędzia i metody zbrodni – pojechałem w jeszcze gorsze miejsce zwane polami śmierci, gdzie systemowo i metodycznie mordowano wszystkich urojonych i prawdziwych przeciwników reżimu. Nie wchodząc w szczegóły, chcę tylko napisać, że na 9 milionów obywateli Kambodży w tamtym czasie, w latach 1975–1979, Czerwoni Khmerzy pod rządami Pol Pota zamordowali 3 miliony z nich. Ciekawostką jest, że po przejęciu władzy w ciągu 48 godzin zmusili wszystkich mieszkańców Phnom Penh do opuszczenia miasta i wyjazdu na wieś, gdzie mieli zajmować się rolnictwem, o czym nie mieli żadnego pojęcia. W więzieniu S21 miałem okazję zakupić książkę jednego z ocalałych więźniów. Natomiast na polach śmierci, gdzie w tej chwili znajdują się muzeum i mauzoleum, nadal z ziemi wystają kości pomordowanych, co można dostrzec gołym okiem. Najtragiczniejsze jest to, że sam Pol Pot po utracie władzy na rzecz ekipy powiązanej z Wietnamem został uznany przez ONZ i państwa zachodnie za prawowitego włodarza Kambodży i dożył 72 lat. Jego morderczy rząd zasiadał także w ONZ jako prawowity rząd Kambodży. Temat naprawdę zasługuje na zapoznanie.



Zdjęcie 55. Pola śmierci – drzewo, o które roztrzaskiwano małe dzieci.

Po zwiedzeniu tych smutnych, ale obowiązkowych miejsc udałem się na jedwabną wyspę, zatrzymując się jeszcze na tzw. rosyjskim targu, polecanym jako idealne miejsce do zakupu wszelkiego rodzaju suvenirów przez turystów. Po wizycie mogę z całą odpowiedzialnością potwierdzić, że jest to świetny targ, gdzie można zjeść, kupić owoce, warzywa i mięso, ale przede wszystkim kupić najważniejsze pamiątki, czyli magnesiki i całą resztę ciekawych rzeczy, jak rzeźby czy rękodzieło. Jest tam po prostu wszystko.



Zdjęcie 56. Rosyjski market.

Realizując wcześniejszy plan, po zakupach na rosyjskim targu pojechałem z Tomem na Jedwabną Wyspę, gdzie duża część lokalnej ludności trudni się produkcją jedwabiu z jedwabników. Chińska technologia produkcji jedwabiu, która była pilnie strzeżoną tajemnicą Chińczyków przez tysiące lat, została mi podana za cenę 3 USD. Zobaczyłem absolutnie wszystko: żywe gąsienice, które trzymałem na rękach, cały proces produkcji kokonów, powstawanie motyla, współżycie owadów, znoszenie jaj, karmienie gąsienic, budowanie przez nie kokonów, opuszczanie kokonów, a następnie ich gotowanie i rozwijanie z nich nici.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 57. Moja przewodniczka prezentująca żywe owady oraz wyprodukowane przez nie kokony.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 58. Żywe jedwabniki w trakcie karmienia.

Kilka ciekawostek, które udało mi się zapamiętać: jedna samica znosi od 250 do 300 jaj. Po wykluciu się młodych są one karmione cztery razy dziennie przez około cztery tygodnie i za każdym razem są przenoszone na inne naczynie, aby odchody ich nie zabiły. Następnie, kiedy uzyskują jednolity zielony kolor, przestają być karmione liśćmi morwy i wtedy w ciągu 24 godzin zwijają się w kokon. Po pewnym czasie otwierają kokon i większość z nich go opuszcza. Następnie po kontakcie płciowym znoszą jajka i giną. Z kolei sam kokon jest gotowany w wodzie i za pomocą specjalnego suszonego liścia nieznanego mi rośliny pobierane są zaczątki nici. Jedna nić zwijana jest z około 30 cieniutkich nici jedwabnika. Następnie nici są zwijane na szpule. Po przygotowaniu szpuli i ich rozciągnięciu na krosnach są one dodatkowo zwilżane, aby się nie łączyły. Standardowo produkuje się materiał o szerokości 1 metra i długości 4 metrów. Niesamowite doświadczenie edukacyjne, które powinny znać dzieci w szkole podstawowej.



Zdjęcie 59. Tworzenie kokonów.



Zdjęcie 60. Pozyskiwanie nici z kokonów.



Zdjęcie 61. Produkcja gotowej jedwabnej tkaniny.

Po powrocie znów zaliczyłem trening pływacki na basenie oraz zrobiłem tzw. wieczorny obchód dzielnicy, gdzie skusiłem się na pieczonego ptaka wielkości gołębia za 1 USD oraz zjadłem lody z duriana – ciekawe doświadczenie kulinarne. Wszystko należało przepić dobrą whisky. Każdego dnia, wychodząc wieczorem, odkrywam uroki tej kultury. Nie ma tu zakazów, masz, co masz i możesz to sprzedać, komu chcesz. Zauważyłem, że jakość ma tutaj znaczenie, są punkty kulinarne, w których zawsze jest mnóstwo ludzi, a są też takie, gdzie nie ma nikogo. Żadne oficjalne nakazy czy zakazy nie są potrzebne. Miałem okazję z moim kierowcą zjeść obiad w jego ulubionym barze i przyznaję, że był to jeden z moich najlepszych posiłków. Jedyny minus stanowiło straszne mlaskanie kierowcy. Słyszałem, że w kulturze azjatyckiej to norma, ale jedno – słyszeć, a drugie – doświadczyć. Dałem radę, ale nie było łatwo.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 62. Jedna z ulic w rejonie mojego hotelu.

Dzień szósty (30.03.2023) – Phnom Penh, wyjazd poza miasto

O poranku, tak jak poprzedniego dnia, zrobiłem krótką przebieżkę nadrzeczną promenadą i zjadłem szybkie śniadanie. O 9.30 jak dzień wcześniej czekał na mnie mój kierowca tuk tuka

Tom i zgodnie z planem pojechaliśmy do jego wsi. Droga zajęła nam około półtorej godziny. Była to dla mnie idealna okazja do podziwiania rozbudowy miasta, którego tempo rozwoju jest imponujące. Nigdy bym sobie tego nie wyobraził, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

Nowe drogi, kilkupasmowe, tysiące punktów handlowych, zakładów usługowych, a najbardziej imponujące są gigantyczne w swoich rozmiarach, budowane na otwartych przestrzeniach osiedla mieszkaniowe dla tysięcy ludzi lub osiedla willowe dla setek bardzo bogatych nabywców. Według Toma to wszystko jest szykowane pod kątem Chińczyków, którzy będą je kupowali. W większości deweloperzy to firmy chińskie. Kiedy go zapytałem, skąd pochodzą na to pieniądze, stwierdził, że rząd dał Chińczykom prawo do osiemdziesięcioletniej dzierżawy kopalń przy granicy i bardzo ściśle z nimi współpracuje. Jak dalej tak to się będzie rozwijało, to Kambodża stanie się prowincją Chin. Zresztą partia Kambodian People Party rządzi już czwartą kadencję i nie zamierza oddać władzy.





Zdjęcie 63–65. Nowoczesne osiedla mieszkaniowe dla zamożnych.

Kiedy dojechaliśmy do wsi Toma, życie bardzo zwolniło. Spacerując po wsi, miałem okazję obserwować lokalny market i fotografować tradycyjne domy mieszkańców Kambodży. Ludzie się uśmiechali, byli bardzo przyjaźni, nie mieli też nic przeciwko, kiedy im robiłem zdjęcia. Dzieci mnie zaczepiały, pozdrowiały po angielsku i pytały, skąd jestem i dlaczego przyjechałem do Kambodży. Typowa zabudowa to dom drewniany stojący na wysokich filarach, tak jakby był przygotowany na zalanie przez rzekę. Jednak życie toczy się na samym dole, gdzie na zewnątrz stoją łóżka, na których ludzie śpią w nocy lub bawią się w dzień. Część ludzi spała na hamakach, część przygotowywała posiłek, ale spędzali czas bardzo rodzinnie. Ciekawostka, że w każdej zagrodzie jest pies, który wychodzi na drogę i szczeka, kiedy ktoś obcy się kręci, dając zarazem znać sąsiadom, że coś się dzieje.



Zdjęcie 66. Typowy dom na wsi.



fat. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 67. Rzadki widok konia w Kambodży.



fat. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 68. Życie zwykłych mieszkańców Kambodży.

Pojeździliśmy trochę częściowo rozbitym skuterem syna po okolicy. Nad rzeką widziałem zacumowane przy brzegu pływające domy ludzi, którzy według oświadczenia Toma są Wietnamczykami. Ludzi ci całe swoje życie spędzają na łodziach. Zastanawiające jest to, że

korzystają z wody z rzeki, która do czystych nie należy, tym bardziej że trafiają tam wszystkie ścieki z miast.



Zdjęcie 69. Łodzie wietnamskich rybaków.

Po drodze oczywiście miałem okazję wypić sok z trzciny cukrowej, który błyskawicznie daje energię, czy sok z kokosa, który lepiej gasi pragnienie niż woda mineralna. Przy tych upałach jedzenie raz na pięć – sześć godzin nie stanowi problemu, wystarczy się napić wymienionych soków. Dla lokalnej ludności nie jest to tanie, bo zarówno kokos, jak i trzcina kosztuje dolara, chyba że jest to cena dla zagranicznych turystów.



Zdjęcie 70. Zabudowa wiejska z inwentarzem.



Zdjęcie 71. Pola ryżowe we wsi Toma.

Po kilku godzinach przyszedł czas na powrót. Chciałem koniecznie z bliska obejrzyć te ogromne osiedla. Do jednego udało się wjechać i porobić zdjęcia, bo część domów była jeszcze na sprzedaż. Za takie wille w Polsce trzeba by zapłacić około 2 mln PLN. Do innego osiedla już nas nie wpuszczono, ponieważ całe było wyprzedane i ochrona powiedziała, że nie wolno robić zdjęć. Osiedla są otoczone murem lub ogrodzeniem z innego materiału i mają potężną bramę wjazdową, gdzie ochrona sprawdza wjeżdżających i punkty handlowo-usługowe wewnątrz.

Po drodze pojechaliśmy jeszcze z Tomem do szpitala po jego żonę i połamanego syna. Pokazał mi swoje zdjęcia RTG, z których wynikało, że ma obojczyk, kości piszczelowe i strzałkowe na śrubach.

Po powrocie miałem siły już tylko na basen oraz spacer po mieście. Odwiedziłem bardzo dobry lokalny bar, gdzie każdego dnia widziałem jedzących białych turystów. Skusiłem się i zjadłem pyszną zupę z makaronem i pierogami – ciasto było wyrabiane na oczach konsumentów. Pierogi podawano z warzywami, krewetkami czy świniną. Wszystko bardzo smaczne i kosztowało 5 USD.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 72. Mój hotel w Phnom Penh.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 73. Basen w moim hotelu.



Zdjęcie 74–75. Okolice hotelu.

Wracając do hotelu, kupiłem jeszcze bilet autobusowy na 8.30 rano do Sim Reap. Muszę przyznać, że po trzech dniach pobytu w dużym i gwałtownym mieście poczułem ochotę na zmianę otoczenia. Najbardziej będzie mi brakowało hotelu, który naprawdę jest fantastyczny.

Dzień siódmy (31.03.2023) – podróż z Phnom Penh do Siem Reap

Zgodnie z umową z przedstawicielem firmy, która sprzedawała mi bilet na autobus, chwilę po 8.00 podjechał po mnie tuk tuk i zabrał do miejsca, skąd miał wystartować bus. Oczywiście, jak to bywa, było duże opóźnienie a po drodze zabieraliśmy jeszcze inne osoby. Nie miało to dla mnie większego znaczenia, bo i tak cały dzień przeznaczyłem na przemieszczenie do Siem Reap.

Po drodze mieliśmy dwie przerwy, z czego jedną dłuższą na obiad. Miejsce starannie dobrano ze względu na szybkość podawania posiłków oraz parking. Sama restauracja była oczywiście obiektem bez ścian, jak większość w Kambodży – w tym klimacie wystarczy dach, który osłania od słońca i deszczu. Część stolików, poza główną restauracją, otaczały hamaki, na których goście leżakowali po posiłku. Cena posiłku – kurczak, ryż i woda – to około 15 PLN.



fot. Krzysztof Danieliewicz
Zdjęcie 76. Restauracja dla pasażerów.



Zdjęcie 77. Miejsca dla rodzin. Obok hamaki do spoczynku po posiłku.

Po drodze dosiadały się kolejne osoby, których na końcu było już jedenaście, a wyruszały cztery. Ja zajmowałem miejsce w przedostatnim rzędzie, gdzie siedziały kobiety, z czego jedna z synem, i jak to bywa u kobiet na całym świecie, były bardzo gadatliwe, a chłopak grał głośno w gry komputerowe na telefonie. Pomyślałem sobie, że pewne rzeczy są takie same na całym świecie. Próbowaly mnie zagadywać, ale bariera językowa bardzo studziła zapędy. Wszyscy w busie ze sobą rozmawiali, jakby się znali wcześniej, wszyscy też bardzo miło reagowali na mnie, zachowywali się bardzo pomocnie i sympatycznie.

Po drodze mijaliśmy przepiękne tradycyjne domy, z czego część była bardzo starannie odrestaurowana. Niektóre pola już się bardzo zieleniły i rósł na nich ryż, na innych, suchych, krowy zjadały resztki po żniwach. Teren był bardzo płaski, poprzelamywany pojedynczymi palmami lub grupami tych drzew. Wszędzie widziałem ogromną energię i rozwój, dużo nowych konstrukcji czy dróg.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 78. Bardzo przyjaźni pasażerowie.

Na miejscu przywitał nas bardzo intensywny, ale chwilowy deszcz. W pewnym momencie, kiedy część pasażerów wysiadała, do busa zajął człowiek i powiedział, że przyjechał po mnie i zabierze mnie do hotelu. Taka się zresztą umówiłem z człowiekiem od biletów z Phnom Penh. Powiedział, że zabierze mnie za darmo i porozmawiamy o wycieczkach z nim w kolejne dni. Układ mi pasował, powiedziałem tylko, jakie są moje oczekiwania i że ma pomyśleć na temat ceny i szczegółów.

Hotel kolejny raz mnie zaskoczył – był na takim samym poziomie jak ten z Phnom Penh, jednak miasto jest jakby spokojniejsze, czystsze i ładniejsze. W hotelu, który znajdował się w postkolonialnym budynku, do dyspozycji gości oddano także basen i małą, ale dobrze wyposażoną siłownię. W mieście w oczy rzuciły się od razu pięknie odrestaurowane pokolonialne budynki, które teraz służą w większości za restauracje czy punkty handlowe. Nawet same tuk tuki były bardziej zadbane, a część z nich specjalnie stylizowano na różne style – kowbojski, BMW czy futurystyczny.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 79. Mój hotel w Siem Reap.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 80. Mój pokój hotelowy.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 81. Mój hotel. W cenie i warunkach nie do zdobycia w Polsce.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 82. Zabudowa kolonialna w Siem Reap.



Zdjęcie 83. Bardzo ciekawe i zadbane tuk tuki, jakich już później nigdzie nie spotkałem.





Zdjęcie 84–86. Zabudowa kolonialna w Siem Reap.

Wieczorem miasto wyglądało jeszcze piękniej. Podobnie jak w Bangkoku czy Phnom Penh, życie dopiero wtedy ożywało, oczywiście ze względu na temperaturę. Pomimo że było chłodniej, to jednak organizm dalej się pocił. Kamienice podświetlone sprawiały wspaniałe wrażenie, a na ich tle stylizowane tuk tuki, człowiek mógł poczuć atmosferę odległych czasów. Widziałem mnóstwo świetnie przygotowanych i stylizowanych barów, restauracji czy klubów. Wydzielono nawet opisaną dużymi literami ulicę Pub Street, głośniejszą niż inne miejsca, gdzie często puszczano muzykę na żywo. Wszystkie sklepy były pootwierane – nocny market w całej okazałości, gdzie każdy turysta znajdzie coś dla siebie i to w cenach atrakcyjniejszych niż w stolicy, nawet na rosyjskim targu.



fot. Krzysztof Danielewicz







Zdjęcie 87–92. Siem Reap nocą, jeszcze piękniejszy niż za dnia.

Oczywiście wszędzie widziałem punkty oferujące masaż we wszelkich jego formach. Ja tym razem postanowiłem wybrać najlepszy masaż z internetu i okazał się to strzał w dychę. W The Secret Eden SPA za cenę kilkunastu dolarów można mieć godzinny lub dłuższy profesjonalny masaż, jaki w Polsce jest praktycznie niemożliwy do zdobycia. Wszystko na najwyższym poziomie: obsługa, czystość i atmosfera. Po masażu, zrelaksowany, napajałem się miłą atmosferą na każdym kroku, muzyką, dobrym jedzeniem, oglądałem stragany i myślałem, jakie życie może być piękne, kiedy człowiek się budzi i codziennie widzi słońce i jest mu bardzo ciepło.

Dzień ósmy (1.04.2023) – Angkor Wat

Rano, zgodnie z umową z kierowcą, o godzinie 11.00 opuściłem hotel w gotowości do zwiedzania pozostałości po imperium khmerskim, w tym najważniejszego obiektu – legendarnej Angkor Wat. Okazało się, że pod hotelem czeka inny kierowca, który powiedział, że to on dzień wcześniej wysłał mi kierowcę. Powiedziałem, że nie taka była umowa, nie lubię takich sytuacji, kiedy ktoś mnie przekazuje jak walizkę. Jednak nie chciałem robić afery i pojechaliśmy do Angkor Wat, położonej około 4 kilometry od miasta.

Po drodze musieliśmy jeszcze podjechać do dyrekcji całego obiektu po bilet, który na jeden dzień kosztuje 37 USD. Kupując bilet, obsługa robi nam zdjęcie i jest ono umieszczone na bilecie – chodzi pewnie o to, żeby ludzie sobie ich nie przekazywali. Generalnie cały kompleks pozostałości jest terenem otwartym, tylko osoby przewożące turystów muszą zjechać na tzw. punkty kontrolne, to z reguły parking przy drodze, gdzie bilet jest sprawdzany.



Zdjęcie 93. Droga prowadząca do Angkor Wat.

Angkor Wat to ogromny obiekt, w całości otoczony potężną fosą wypełnioną wodą. Kiedyś oglądałem program w TV, z którego wynika, że woda ma powodować zagęszczenie ziemi i zapobiec osuwaniu się w piasek całego kompleksu świątyń. Widać, że obiekt cieszy się sporą popularnością wśród turystów z całego świata. Na terenie zauważyłem też kilka par narzeczonych, którzy robili sobie zdjęcia ślubne, oraz młode, pięknie ubrane dziewczyny, które pozowały na tle ruin. Muszę powiedzieć, że miejscowa uroda wspaniale się komponuje z tymi ruinami i można sobie tylko wyobrazić, jaka ta cywilizacja musiała być potężna i ciekawa jednocześnie. Po obiekcie można spokojnie chodzić, można też wynająć za 5 USD przewodnika, których po drodze stało bardzo dużo. Ruiny robią ogromne wrażenie nie tylko swoim ogromem, ale i zdobieniami – i pomyśleć, że to tylko jeden z wielu podobnych obiektów znajdujących się na tym terenie. Po spędzeniu około dwóch godzin w Angkor Wat pojechałem z moim kierowcą tuk tuka na kolejne dwa obiekty.



Zdjęcie 94–95. Tradycyjnie ubrana para robiąca sobie ślubne zdjęcia w Angkor Wat.



Fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 96. Tradycyjnie ubrane młode kobiety robiące sobie zdjęcia w Angkor Wat.









Zdjęcie 97–101. Angkor Wat.

Szczególnie drugi z obiektów – Bayon Temple – zrobił na mnie piorunujące wrażenie, co wynikało z jego lokalizacji w lesie oraz przeplatanych gigantycznych korzeniach drzew z murami. Wygląda to tak, jakby stanowiły jeden rozumiejący się i czujący obiekt. Pomimo upału na zewnątrz w korytarzach świątyni panował bardzo przyjemny chłód, miało się wrażenie, że czas zwalnia. Zdobienia ścian, wszystko na kamieniu, były imponujące. Kaganki pokryte były kamiennymi dachówkami, z których wykonanie jednej musiało zajmować całe dni, coś niesamowitego. Chodząc po ruinach, człowiek się automatycznie wyciszał i starał sobie wyobrazić to państwo w okresie największego rozkwitu. Rozmach i potęga tych obiektów powodują, że zastanawiamy się, czy jakaś nadprzyrodzona siła nie pomagała Khmerom budować swojego potężnego państwa.









for. Grzegorz Daniłowicz

Zdjęcia 102–107. Bayon Temple i jej otoczenie.





fot. Krzysztof Danielewicz



fot. Krzysztof Danielewicz



Zdjęcia 108–112. Kolejna świątynia i jej otoczenie.

Po nasyceniu się historią, przyrodą i pogodą wróciłem do hotelu, gdzie po basenie udałem się na kolejny profesjonalny masaż, po którym z kolei ponownie cieszyłem się urokami pełnego gwaru miasta, tym bardziej że to była sobota. Wszędzie grała bardzo głośna muzyka i spacerowały tysiące turystów z całego świata wymieszanych z lokalną ludnością i ich

dziećmi. Było bardzo miło i spokojnie, żadnej agresji. Największą różnicą pomiędzy Azją a np. Afryką jest to, że w Azji dzieci nie biegają z tym irytującym zawołaniem „give me money”. Nie zgodzę się z opiniami niektórych osób zamieszczanymi w internecie, że człowiek jest tu traktowany jak skarbonka. Niczym się to nie różni od naszych turystycznych miejscowości, gdzie ludzie oferują swoje usługi, czy nachalnej reklamy w telewizji czy radiu, gdzie nie można obejrzeć 20 minut ciekawego filmu bez porcji głupich reklam. Tutaj przynajmniej te ceny są bardzo uczciwe.



Zdjęcie 113. Nocne życie w Siem Reap.

Dzień dziewiąty (2.04.2023) – jezioro Tonle Sap

Kolejnego dnia o 11.00 czekał na mnie mój kierowca, ale przedstawił mi swojego kolegę, który miał większy i silniejszy motor oraz bardziej komfortowego tuk tuka. Dzień wcześniej w jego motocyklu coś bardzo piszczało i poprosiłem o naprawienie tego, ponieważ nie wyobrażałem sobie, abym przez ponad półtorej godziny miał tego słuchać. Za cały wyjazd w dwie strony ustaliłem cenę 27 USD.

Tym razem zmierzaliśmy do Tonle Sap – największego jeziora na Półwyspie Indochińskim, którego powierzchnia waha się od 2500 w porze suchej do 15 000 kilometrów kwadratowych w porze deszczowej, i ma od 0,2 do 14 metrów głębokości. Ciekawostką jest nie samo jezioro, które oczywiście robi ogromne wrażenie, a sposób, w jaki ludność się przystosowała, aby tutaj

funkcjonować. Część ludzi, np. Wietnamczycy, żyje w pływających domach – łodziach, natomiast większość zamieszkuje domy na palach o wysokości kilkunastu metrów.

Po drodze do miejscowości zauważyłem w pewnym momencie przy drodze dziesiątki straganów, na których sprzedawano coś, co wyglądało na rurki bambusowe wędzone w dymie. Zainteresowało mnie to i poprosiłem kierowcę, aby się zatrzymał. Okazało się, że w tych rurkach gotowany jest w dymie ryż z jakimiś pestkami owoców oraz olejem kokosowym. Po odłamaniu ścianek bambusa można było jeść ciepły i energetyczny posiłek.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 114. Parzony w bambusie ryż.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 115. Jeden z domów na trasie dojazdowej do jeziora Tonle Sap.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 116. Suszenie ryżu.

Po ponad godzinie jazdy skręciliśmy w prawo w kierunku jeziora. Mijaliśmy wsie rolnicze, gdzie lokalni rolnicy suszyli ryż. Ciekawe jest, że sama droga i wioski zlokalizowane były na grobli. Po obu stronach pola leżały wyraźnie niżej, tak jakby planowano je zalać. Im bliżej jeziora, tym pola leżały niżej, z czego na niektórych rósł świeży ryż, a na innych było bardzo sucho i było wyjadało resztki.

Po kilku kilometrach dojechaliśmy do punktu kontrolnego, gdzie musiałem kupić bilet wstępu do obszaru otaczającego jezioro, który kosztował 35 USD, ale w to miałem wliczoną łódź do jeziora. Kilka minut dalej dojechaliśmy do bardzo dużej wsi, w całości zbudowanej na bardzo długich palach, szczególnie od strony jeziora. Sama wieś stała na potężnych groblach znajdujących się nawet kilkanaście metrów wyżej od obecnego stanu wody. Od strony drogi te pale miały tylko kilka metrów wysokości. Było ewidentnie widać, dokąd sięga woda w czasie pory deszczowej. Po okazaniu biletu przydzielono mi łódź z dwoma ludźmi – sternikiem i jego pomocnikiem, który bardzo szybko okazał swoją przydatność, kiedy trzeba było kilka razy wyciągać resztki sieci rybackich i plastiku z śruby napędowej. Niestety plastik ogromnie zanieczyścił to jezioro, o czym sami rybacy boleśnie się przekonują. Poziom wody jest tak niski, że niektóre łodzie prawie osadzały się na dnie.





Zdjęcia 117–119. Życie mieszkańców nad jeziorem Tonle Sap.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 120. Produkcja sieci.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 121. Wieś od strony grobli.

Już samo wypływanie z portu otoczonego nienaturalnie wysoko zbudowanymi domami robiło potężne wrażenie. Całą wieś okalają namorzyny, które w porze deszczowej są całkowicie

zalane wodą. Widziałem kiedyś program w TV, że w porze deszczowej trudniej jest łowić ryby, ponieważ rozchodzą się one po ogromnym obszarze. Zresztą wraz ze zbliżaniem się do wsi coraz wyraźniej czuło się wszechobecny zapach ryb. Sternik, widząc moje zaparcie fotograficzne, wystawił mi krzeselko na pokład i miałem świetne warunki do robienia dobrych ujęć. Jedyny minus był taki, że znajdowałem się na bardzo silnym słońcu.



Zdjęcie 122. Autor na stanowisku pracy.

Po drodze miałem okazję przyglądać się i dokumentować życie mieszkańców, którzy jak wszędzie byli bardzo pozytywnie nastawieni do turystów i pozdrawiali mnie. Po kilkunastu minutach płynięcia rzeką i mijania się z szybko pędzącymi łodziami rybaków dopłynęliśmy do jeziora. Jezioro nawet w porze suchej jest gigantyczne, nie ma absolutnie mowy, aby zobaczyć jego drugi koniec. W oddali widać skupisko pływających domów, do którego podpłynęliśmy i mogłem je sfotografować. Dzień wcześniej, kiedy planowałem wyjazd, powiedziałem, że na jeziorze możemy być najwcześniej o 14.00, ponieważ wcześniej słońce jest za silne i zdjęcia źle wychodzą.







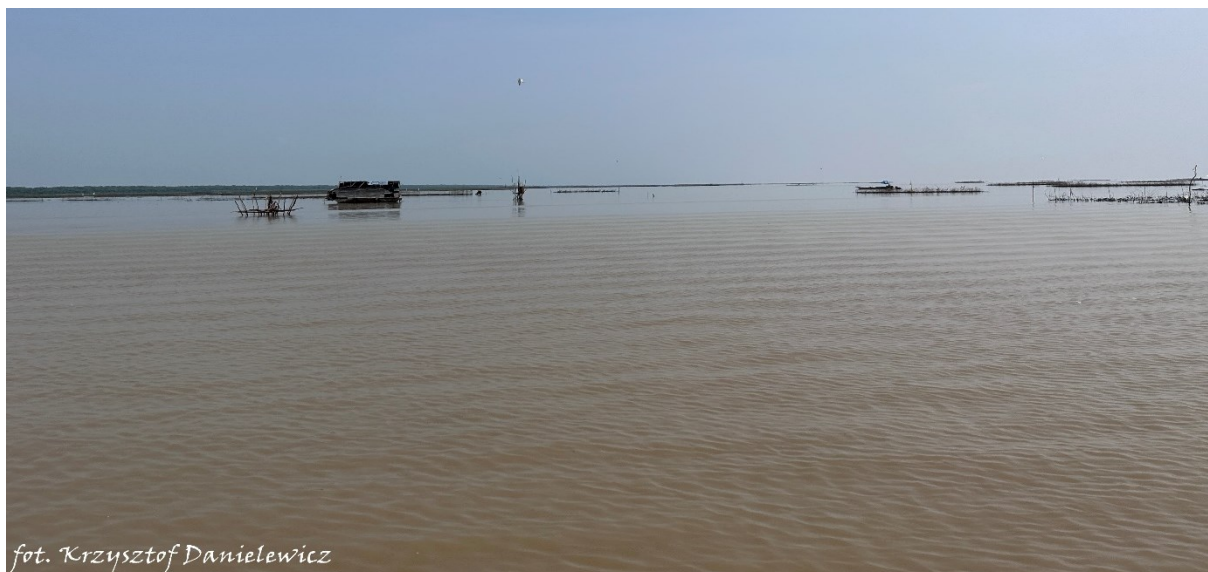
Zdjęcia 123–127. Życie codzienne rybaków nad jeziorem Tonle Sap.

Miałem idealne warunki do fotografowania. Cisza, bardzo mało pojedynczych łodzi turystycznych i ogromne jezioro wokół mnie. Zamieszkałe przez Wietnamczyków pływające domy robią imponujące wrażenie. Było ich około dziesięciu, oddalone od siebie o kilkanaście metrów, bardzo czyste i zadbane. Widać, że ludzie tam prowadzą szczęśliwe życie. Z jednej z łodzi dobiegała bardzo głośna orientalna muzyka, która nadawała tej chwili wyjątkowości, cudowne przeżycie.

Po powrocie do portu miałem okazję do zrobienia całej masy ujęć w idealnym słońcu. Po wyjściu z łodzi dałem sternikowi i pomocnikowi mały napiwek w podziękowaniu za dobrze wykonaną pracę. Powiedziałem mojemu kierowcy tuk tuka, że nie chcę jeszcze wracać i idę pochodzić po wsi, aby porobić zdjęcia. Ludzie bardzo pozytywnie reagowali i nawet jeśli niespecjalnie chcieli być obiektami mojej fotograficznej pasji, to nie okazywali sprzeciwu, co ja oczywiście z całą bezczelnością wykorzystywałem. Najsympatyczniejsze były dzieci, które wszędzie krzyczały „hallo” i przesyłały całusy. Widać, że turyści zrobili tu „dobrą robotę”. Udało mi się między innymi nakręcić filmik z kobietami produkującymi sieci rybackie czy rybakiem wędzącym ryby.







fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcia 128–132. Jezioro Tonle Sap.

Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze we wcześniej mijanej wsi rolniczej, gdzie także udało mi się zrobić kilka ciekawych ujęć. Do hotelu dotarłem około 17.30, głodny, zmęczony i mocno sponiewierany przez słońce. Szczególnie spaliłem sobie kolana, najbardziej wystawione na działanie promieni słonecznych podczas robienia zdjęć na łodzi. Jednak czego się nie robi dla zatrzymania rzeczywistości w obiektywie. W końcu nie wiadomo, ile lat takie oryginalne miejsca i kultury będą cieszyły oczy turystów. Wszędzie dociera globalizacja, a z nią – plastik i beton. Nie ma się zresztą czemu dziwić – ci ludzie też chcą komfortowo i lepiej żyć niż ich przodkowie. Był to bardzo udany dzień.



fot. Krzysztof Danielewicz









Zdjęcia 133–139.

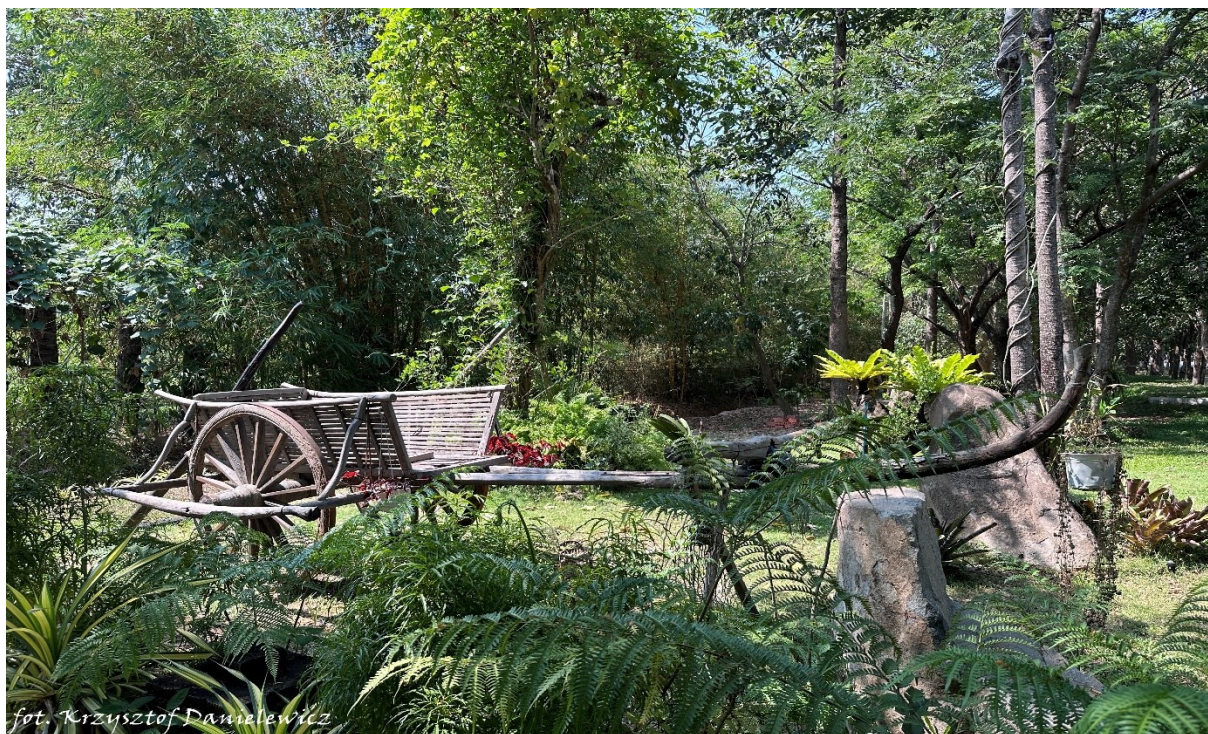
Dzień dziesiąty (3.04.2023) – Siem Reap

Dzień zacząłem znacznie spokojniej – po bardzo intensywnym poprzednim dniu i przyjęciu ogromnej dawki promieni słonecznych postanowiłem trochę zwolnić. Rano dobrze pobiegałem na siłowni, zjadłem śniadanie i sprawiłem sobie leżakowanie. Umówiłem się z moim kierowcą, że o 14.00 ma czekać na mnie pod hotelem. W planach miałem zwiedzenie ogrodu botanicznego i tzw. city tour, czyli objazd miasta. Chciałem zrobić kilka dobrych zdjęć tego urokliwego miasta.

Niestety nie sprawdziłem tego wcześniej i okazało się, że w poniedziałek ogród botaniczny jest nieczynny, więc został mi tylko objazd miasta. Jednak mój kierowca pochodził z okolicznej wsi i dla niego hasło „pokaż mi uroki miasta” nic nie znaczyło. Bardzo się starał, ale w pewnym momencie poddałem się. Zrobiłem kilka ujęć stylowych hoteli i ulic, a także tysięcy bardzo dużych nietoperzy, które zamieszkiwały kilka wielkich drzew w centrum miasta. Pojechalismy nawet poza miasto, ale wyszło tak jak wyszło. Warto jednak wynająć profesjonalnego przewodnika i zapoznać się z miastem. Dla mnie samego było to mało opłacalne.

Po objeździe miasta pojechałem do hotelu i zrobiłem ambitny trening na basenie, po czym poszedłem ostatni raz pochodzić po tym wspaniałym mieście i kupić brakujące suveniry. Co

do zasady zawsze kupuję w nowym kraju flagę, mapę, magnesiki, komplet aktualnych banknotów oraz jedną rzecz, która mi dany kraj przypomina. Od pierwszego dnia mojego pobytu w Kambodży moją uwagę przykuwał tradycyjny wóz Khmerów, który w przeszłości był ciągnięty przez dwa woły. Wóz ten widziałem kilkakrotnie, czy to w muzeum czy przy dobrych restauracjach, czy hotelach. Jaka była moja radość, kiedy zauważyłem bardzo ładnie odlany z brązu wóz oraz dwa woły. Udało mi się też stargować cenę z 90 na 45 USD.







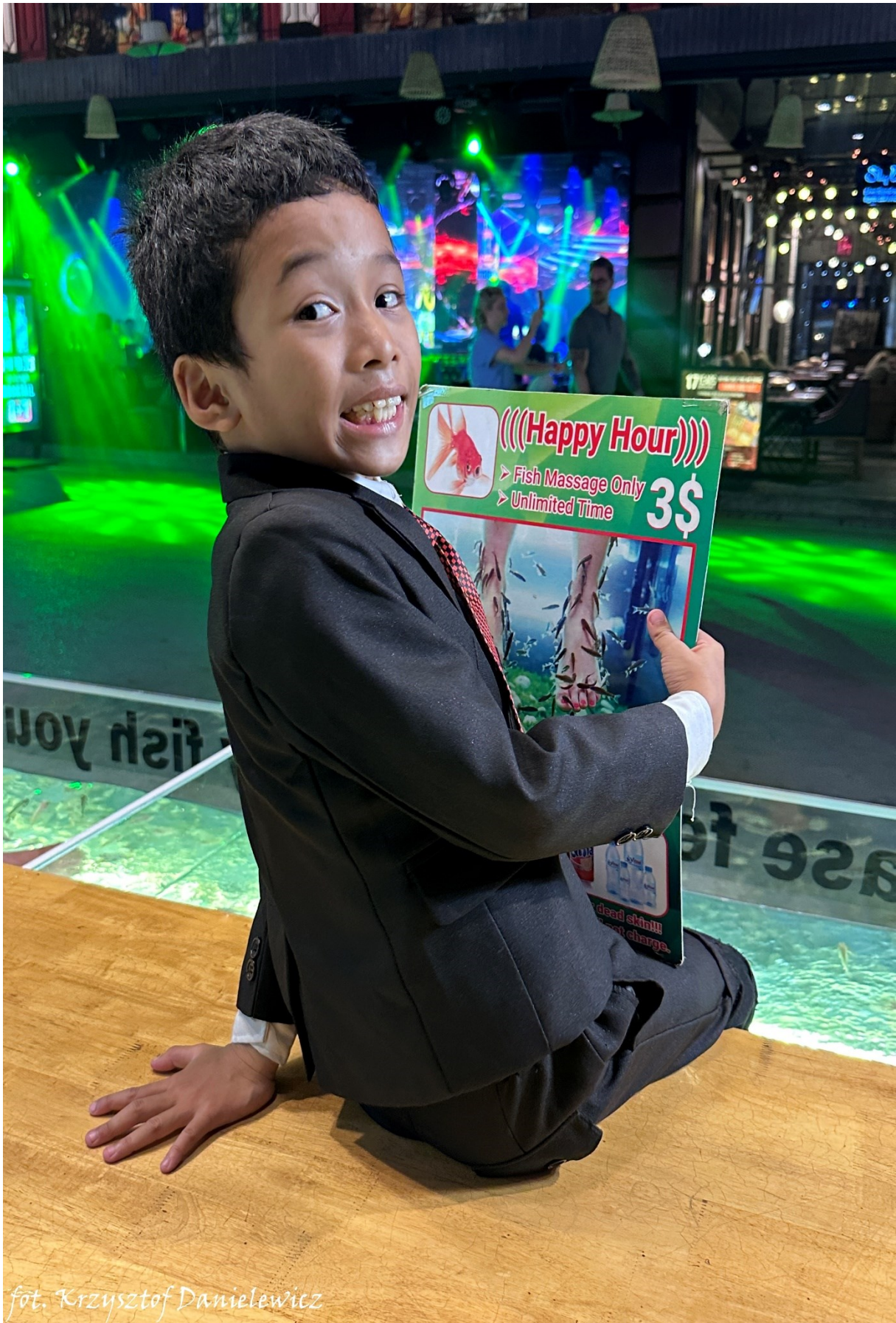
Zdjęcia 140–145. Siem Reap i okolice.

Na zakończenie wieczora postawiłem sobie zafundować zabieg polegający na włożeniu nóg do dużego akwarium, w którym pływały małe rybki żywiące się tylko martwymi tkankami. Na początku śmiałem się prawie na głos, tak mnie to łaskotało, ale z czasem było już lepiej. Po pewnym czasie tak skubały niektóre miejsca, że prawie zaczynało boleć. Miejsce wybrałem dlatego, że po pierwsze znajdowało się naprzeciwko baru z fajną muzyką, a po drugie, że namówił mnie na nie mały, ośmioletni brzdąc ubrany w pełen „gajer” z krawatem włącznie. Przez dłuższy czas go obserwowałem, pozostając pod wrażeniem jego luzu i braku zahamowań w kontaktach z ludźmi na ulicy. Ktoś może pomyśleć, że to dziecko, ale ja dokładnie w tym samym wieku zacząłem ciężko fizycznie pracować, za co do dzisiaj dziękuję rodzicom. Dlaczego tak ciężko, to już inna historia, pewne moje negatywne zachowanie spowodowało, że rodzice słusznie i skutecznie zmienili metody wychowawcze.

Odnosnie do mojego nowego przyjaciela, widać było, że całym interesem trzęsie babcia. Wyraziłem szacunek do faktu, że mały pracuje, i podziw dla jego talentu. Wydaje mi się, że – jak to mówi młodzież – poczuliśmy flow, bo chwilę później dostałem od niej kawałek obranego mango i wodę, czego absolutnie nie było w cenie. Bez względu na kulturę i nację ludzie o tych samych wartościach czują się i nawet bez znajomości języka nawiązują szubko kontakt. Po mile spędzonym wieczorze i dobrze obgryzionych stopach udałem się na zasłużony odpoczynek.



Zdjęcie 146. Rybki obgryzające martwą tkankę skórną.



fot. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 147. Mały biznesmen.